



Rozrzucam kwiaty na ulice

wiersze Adama Matysiaka

Dopiero zacznę

Pisać wiersze zacząłem niewiele ponad rok temu. To względnie krótko, a że nie traktowałem pisania nigdy nazbyt poważnie to jedyne co pozwala mi wypełnić dalsze strony zawartością uznawaną przeze mnie za wartościową to dość szalone tempo pisania. Ciągłe powiększany plik o wymownym tytule „Wiersze” liczy już przeszło 80 stron i, jeśli dobrze by podliczyć, około 100 wierszy różnej długości. Oczywiście, jakość jest bardzo zróżnicowana. Moje najwcześniejsze prace uważam za nie dość dobre, by znalazły się w tym zbiorze – najwcześniejszy wiersz pochodzi z kwietnia 2019. Jako że rozwijam się w swoich poetyckich dokonaniach w sposób skrajnie dialektyczny, wiersze starsze niż miesiąc zazwyczaj są dla mnie upostaciowieniem wszelkiej brzydoty i prostactwa poetyckiego, które nie przestają być udziałem mojej wciąż rozwijającej się twórczości. Warto byłoby jednak przynajmniej zarysować przebyta przeze mnie drogę, by zaprezentowane tu wiersze nabrały większego oparcia w rzeczywistości. Oczywiście każdy tekst mówi za siebie, nie potrzeba go tłumaczyć – nikomu nie każe czytać tego wprowadzenia dłużej niż uzna to za potrzebne. Moich wierszy też nie każe nikomu czytać. Oto ich historia:

Przez pierwsze utwory z okresu od kwietnia do czerwca, bardzo silnie przebija się dość typowy młodzieńczy bunt przeciwko zastanemu światowi kultury. To bunt mimo wszystko sam w sobie, formalnie, klasyczny. Wiersze takie jak „Pokolenie porażone prądem” przekazują fascynację nowoczesnością, chęci bycia obrazoburczym i prowokatorskim – ale trwają w anachronizmie własnego świata, w którym modernizm nie umarł śmiercią naturalną. Wyraźne jest podbrzusze futuryzmu, które w tych utworach jest tyleż wyraźne, co wrażliwe na uderzenia. To wiersze, które krzyczą, ale póki co jedynie gwoli samego głośnego dźwięku. Na wszystkim położone grzejące futerko symbolizmu, które bogactwem obrazowania staje naprzeciw burzycielskim dążeniom. To wewnętrzna sprzeczność duchowości, która musiała zostać rozwiązana w ekspresywnym wybuchu, tyleż tragicznym co bezowocnym. Tego wiersza, o jüngerowskim tytule, który teraz budzi na mojej twarzy uśmiech, zdecydowałem się nie umieścić w tym zestawieniu – zwyczajnie nie jest dobry.

W połowie czerwca kończę pracę nad cyklem „Świat po przedstawieniu”, składającym się z krótkiego wprowadzenia, długiego „Poematu”, którego fragmenty prezentuję w tym zbiorze, oraz kilku bardzo eksperymentalnych prób

poezji nowofalowej i konkretnej (bez reprezentacji w tym zestawieniu). Inspiracja dla bardziej klasycznej części przysłała z długiej wówczas fascynacji rosyjskim i niemieckim ekspresjonizmem teatralnym, zwłaszcza Bertoldem Brechtem i Wsiewołodem Meyerholdem. Całość staje się wariacją przedstawienia rzeczywistości, pozostając dalej półzartem z samego siebie i swojej inteligenckiej postawy. Nigdy nie starałem się ukrywać pretensjonalności, którą prezentuję wiecznie z książką pod ręką, wiecznie w magazynie bibliotecznym, wiecznie na bieżąco z kinem, z muzyką wszelkich rodzajów, etc. Nie ma w tym przesadnej pozy, charakterologicznie jestem taki (bynajmniej nie szukam tu jednak usprawiedliwienia), niemniej otwieram sobie samemu przejście do rozważań na temat pozowania, które w mojej sytuacji nazbyt często się narzuca. Nastawienie do sfery uczuciowości – o tym przyjdzie nam jeszcze pomówić później – w części E „Poematu” jest dopiero sygnalizowane, jeszcze niedojrzałe i niezrozumiałe dla mnie samego. Tylko lekki prztyczek w nos w kierunku „amerykańskiego snu” i powrót do normalności – mniej więcej na tyle buntu rzeczywiście mnie stać.

W cyklu wierszy graficznych „List oceaniczny który przybył nie dotarł wreszcie spleśniał na deszczu zmiął się w palcach kobiet i kieszeniach mężów gdzieś zostało nieco z jego dumnej mowy między porwanymi słowami majakami” dają już wyraz czemuś innemu. Rzecz jasna dalej chodzi o nowość, dalej chodzi o demaskowanie kultury taką, jaka jest teraz – przyłapać ją na jakimś złym uczynku. Ale więcej tu już bardziej uwewnętrznionej refleksji nad *condition humaine* (i rzeczywiście towarzyszył mi wówczas Malraux). Wiersze pisane w Krakowie. Miałem dużo czasu na kupowanie książek, niekończące spacerowanie po ulicach miasta i refleksje nad samym sobą. Tu zaczynają się wiersze bardziej osobiste, poruszające tematy przemijania (wszakże osiemnaście lat już za pasem), samotności, alienacji. Zestawienia wyrazowe często zyskiwały sens dopiero po ich zderzeniu, szczególnie urzekła mnie dźwięczność nazwiska „Czernyszewski”, które, choć nie bez związku z rosyjskim pisarzem, właśnie przez brzmienie zyskało sobie centralną i główną pozycję w „Świątyni Bachusa w Kronsztadzie”. Mimo wszystko dalej w apokaliptycznych wizjach dzieła widać silne czerpanie z futurystycznego, modernistycznego ducha. To samo w „Trafice”, inspirowanej, obok licznych i zawołowanych odniesień, poezją Alvaro de Camposa, jednego z heteronimów Fernanda Pessoa, do którego także przyjdzie nam wrócić. Wiersze wydają mi się dość krakowskie, na formie z pewnością zaważył Przyboś, a do teraz żałuję, że zapomniałem polecieć do antykwariatu i kupić sobie tomik Jasińskiego. Rimbaud musiał mi wystarczyć.

„Nie pogrzebaliśmy jeszcze wszystkich zmarłych” jest lipcową refleksją nad stanem kultury (sic!), widzianą przez pryzmat poezji Eliota, oraz obrazu Gauguina. Zawsze miałem słabość do symbolizmu tego drugiego, odpowiadającego poezji bardzo cenionego, tak przez malarza jak i przeze mnie, Stephane’a Mallarme’go. Dlatego „Żółty Chrystus” jest tu obrazem centralnym, wokół którego kreślę siatkę znaczeń – obojętności wobec blisko nadchodzącego końca, autorytarnej policji-czegoś-tam, która zabiera ludzi z życia, prowadząc ich

do miejsca kaźni. Nieszczęsny motyw wiosenny grał mi tu zbyt dobrze, żeby go zaniechać, choć dodaje nieco sztampy do i tak klasycznego wiersza. A jednak coś mnie zawsze porusza, gdy do niego wracam, najlepsza zdaje mi się końcówka, przykuwająca uwagę swoją subtelną sugestią: zwyczajni ludzie stoją za tym całym cierpieniem, za tym końcem. Czy można ich winić? Zderzam małą radość z wielkim smutkiem próbując ukazać zawarte w nich wewnętrzne sprzeczności łączące je w jedno uczucie.

„Ukradzione imię” pisałem w specyficznych okolicznościach, które spowodowały, że wiersz ten, chyba jeden z lepszych w tym zestawieniu, stał się bardzo osobistym, głębokim i może nieco zbyt patetycznym przeżyciem. To jednak jest moment, w którym udaje mi się, przynajmniej częściowo, zrzucić ograniczenia, które nakładał na mnie wcześniejszy bunt. „Ukradzione imię” nie jest o buncie, lecz o próbie życia i miłości mimo buntu. W świecie, w którym trzeba walczyć nie ma miejsca na zwykłe uczucie. Mimo tego zawsze w zderzeniu z nim zdaje się być tak zwyczajne, pełne acz subtelne, piękne i szczerze. Zawsze jednak czyha moment końca, który wywodzi się z natury buntu na który musimy się godzić. Ten kontrapunkt jest tutaj wszechobecny, a drażąc dalej znaleźć można reminiscencję Apollinaire’a, Camusa, Rimbauda, Nerudy, u którego podpatrzony został pomysł części pierwszej poematu. Silnie swoją obecność zaznacza włoski poeta i muzyk, Emidio Clemente, którego teksty są miejscami inkorporowane w całość utworu. Wiersz jest zatem, mimo osobistego wydźwięku, wielkim kolażem poetyckich inspiracji, który rozciąga się na cały cykl „Wiersze polityczne/Wiersze o sobie samym” do którego należy wiersz poprzedni – „Nie pogrzebaliśmy jeszcze wszystkich zmarłych” – jak również wiersz następny, o którym jeszcze nie wspomniano.

Błogie chwile, które wspominałem podczas pisania całego cyklu najdobitniej ukazuje chyba „[siedzieliśmy w nocy...]”, który jest najbardziej sensu strico miłosny. Swobodnie poprowadzony erotyk, który kończy się gorzką refleksją na temat pamięci, ostatecznie wszystko staje się wrażeniem. To są „Wiersze o sobie samym”, do których „Ukradzione imię” przynależy połowicznie, a które kończy niezawarty w zestawieniu utwór „Życ czy opowiadać” (o silnych związkach z Sartre’em i silnie obrazujący *la nausee* za pomocą rimbaudowskich zdaje się środków wyrazu). Ostatecznie wypada to dość płasko, stąd wiersz tu nie zagościł, stanowi jednak cenne uzupełnienie drogi, jaką przebywa świadomość uczucia.

Pomiędzy napisanymi jeszcze przed początkiem sierpnia „Wierszami politycznymi/Wierszami o samym sobie” a cyklem „Kamienie”, powstającym od początków września, upływa cały miesiąc niemal całkowitej poetyckiej pustki. W tym czasie poświęcam się pisaniu pracy filozoficznej, a przy okazji łataniu luk w znajomości filozoficznych wielkich głów. Na biurku gości Hegel, Spinoza, Rousseau, Lukacs, Marks, Labriola, Gramsci, Heidegger... Później do tego grona dołączają Arystoteles, Kant, Adorno, Lenin i Husserl. Na refleksjach zawartych

w „Kamieniach”, a wyrażonych programowo w „Kazaniu kamieni” zaważył jednak najbardziej poeta – wspomniany wcześniej Pessoa. Jego inny heteronim, Alberto Caeiro, dał podstawy dla refleksji o bezpośrednim odczuwaniu przedmiotów takimi jakimi są. Wobec takiego odczucia piękno jest po prostu byciem. Myślenie jest fałszem, odczuwanie jest jedyną prawdą. To prowadzi do refleksji egzystencjalnej o samym sobie, zawartym w „Idę ulicą jesiennym wieczorem gdy zaczyna już być ciemno” oraz „Kazaniu kamieni”, jak i refleksji o przedmiotach, zawartych w cyklu „Obiekty”, zbrutalizowanym do najprostszych form. Próbowałem nie naśladować portugalskiego poety w obrazowaniu, stworzyć nowy obraz prostej rzeczywistości, który faktycznie jest całością, nie zaś skrajnym rozdzieleniem odczuć. Te sprzeczności nadają „Obiektom” charakter kubistyczny, a przynajmniej takie było zamierzenie. W wyborze, który był konieczny z racji na liczbę pojedynczych „Obiektów”, zawarto jedynie mały fragment tego obrazu, niezrozumiały, niczym barokowa dekoracja, nie będąc postawionym w kontekście całości.

Część „Kamieni” stanowią także wiersze „Reznikoff”, „Pochodnia przerzucana z rąk do rąk” oraz „Warto być obrzydliwym”. Pierwszy jest próbą dystansowania się od amerykańskich obiektywistów, zarzutem nieczystości, która niemożliwa jest do osiągnięcia w świecie duchowości – świadectwo skrajnego materializmu, z pozycji którego kierowałem argumentację. „Pochodnia przerzucana z rąk do rąk” to kolejny wyraz wewnętrznych sprzeczności, które nie wygasają, lecz które ze słabości przeradzają się w wewnętrzną siłę, która zaraz napędzać będzie moje ostatnie (chyba najlepsze) wiersze. „Warto być obrzydliwym” to w porównaniu może prędzej liryczna miniatura, jednak jak znacząca dla postawy wobec rzeczywistości, porównując z „Światem po przedstawieniu” – już nie prawie-pozą, która jest koniecznością życia w społeczeństwie, lecz szczerą, która gwarantuje bycie samym sobą. Podobne myśli można było słyszeć z będącej wielką inspiracją poezji Pabla Nerudy:

*Zapytacie, dlaczego jego poezja
nie mówi nam o śnie, o liściach,
o wielkich wulkanach w jego ojczystym kraju?*

*Przyjdźcie zobaczyć krew na ulicach,
przyjdźcie zobaczyć
krew na ulicach,
przyjdźcie zobaczyć krew
na ulicach!*

Te słowa są symptomatyczne dla charakteru produkowanych przeze mnie treści, jednocześnie bardzo wycofanych, ale z rosnącą w jej wnętrzu erupcją, napędzaną lekturą Gida i Blanchota, Lacana i Brentano, większą od tej, która zakończyła pseudo-futuryzm w mojej poezji.

„[Przebija się z nocy...]” jest niejako przejściem pomiędzy analizą, a emocjonalnym wybuchem, który następuje zaraz potem. Przedmioty nie są w stanie wytrzymać wewnętrznego ciśnienia, które rozsadza je ku wrażeniom duchowym. Miłość wreszcie powraca tu do swojej czysto duchowej formy – rozpoczyna się walka z duchem i jego pierwiastkiem we mnie. Miłość nie jest jakaś – ona jest po prostu. Zamknięta wewnątrz świadomości stanowi pierwiastek ducha jednoczący „ja” z przedmiotem. Zaklęty w świecie przyrody, jako świadomość rozpoczynam drogę ku Królestwu Ducha.

Na tej drodze musimy się zatrzymać dłużej. To wiersze z października i listopada, najbliższe teraźniejszości z tych, które się tutaj znajdują. Narażam się na nadreprezentację stanu obecnego, ignorując przeszłość – to prawda, ale wierząc, że znajduje się na ciągłej drodze naprzód, powinno się po niej biec, nie oglądając się za siebie bardziej, niż to konieczne.

„Porsenny brewiarz cieniem skryty” to wiersz pod pewnymi względami wycofany w stosunku do poprzedzających go utworów. Wciąż mówi oczywiście o rzeczach wielkich, nie sposób tego nie zauważyć, ale wszystko bardziej może subtelnie, z lekko większą dawką pokory wobec potężnych sił rządzących umysłem. Rzecz dzieje się wewnątrz świadomości, wewnątrz umysłu. Może blisko temu do surrealizmu, na pewno tytuł został napisany jako podświadome skojarzenie ze sobą słów – wokół tego niejako przyszło mi pisać.

Wypada mi tu zrobić dygresję, bo z ruchem surrealistycznym przyszło mi w całej swojej poetyckiej drodze utożsamiać najbardziej. Jak bliskie są pierwsze krzyki butnego młodzieńca tym, które wydawał Breton w pierwszym „Manifestie surrealizmu” – jak podobna jest gorzka zaduma nad kondycją ludzką do tej z „Drugiego Manifestu...” Oczywiście brak jeszcze głębokiej świadomości, podobnie jednak, jak widzę w Bretonie odkrywcę tej strony świadomości, która przez długi czas pozostawała zakryta, tak i w sobie dostrzegam wewnętrzne poczucie do przełamania pewnego stanu panującego we mnie wobec samego siebie, dalej – wobec całego świata. To nie potencjał, prędzej wewnętrzne poczucie, że jest to możliwe – z rezerwą przy twierdzeniu, że sam tego w sobie dokonam.

Tym jest zatem przesłanie „Porsenny brewiarza cieniem skrytego”, „Mnie-Proroka”, „To ja – Rousseau” i wszystkich innych wierszy z tego okresu. Postrzegam je z tego względu za przynajmniej zaczątki kolejnego, powstającego jeszcze cyklu. Dopóki nie będzie zakończony, nie będę w stanie powiedzieć wiele o całokształcie idei zawartych w tych wierszach, i tak wydaje mi się, że powiedziałem wystarczająco, by zrozumieć lekką pretensjonalność, która przejawia się w tych utworach – całkiem umyślnie przecież.

Drugi wątek, który przejawia się w przynajmniej części tych wierszy, to karmiony intensywną lekturą ogień wypalający wielką dziurę w duszy, która zyskuje równocześnie, jeśli nie przez to – samoświadomość. To trochę reminiscencja pytania Adorno o literaturę po Oświęcimiu. Szerzej po prostu

literaturę po modernizmie – Habermas nazywał modernizm „niedokończonym projektem”, Lyotard w ogóle ogłosił modernizm skończonym. Ja poszukuję swojego miejsca w tym nowoodkrytym i jeszcze nie do końca zrozumianym świecie, w którym istnieje wciąż wiszący nad nami miecz damoklesowy – miecz całego zła, które uczyniono, a za które człowiek i filozofia musieli przyjąć odpowiedzialność. Z perspektywy poety rewolucyjnego, za którego chciałbym się jednak uważać, jest to perspektywa rozdzierająca, utrudniająca zrozumienie samej postawy rewolucji – znaleziona w „Wierszach politycznych” pewność, że istnieje oparcie zostaje zaburzona i skazany jestem na kolejne poszukiwania właściwego sensu dla buntu. Buntu, który istnieje od samego początku i który potrzebuje tylko uformowania.

Trzeci, i ostatni główny, wątek tej najnowszej mojej poezji to również wątek cały czas istniejący w mojej niedługiej twórczości – poszukiwania wyzwolenia poprzez szeroko pojmowaną miłość – tak jak przyjmuje ona różnorodne formy, od prymitywnie ciosanych w pierwszych utworach, przez subtelne erotyki twórczości okresu od czerwca po wrzesień, kończąc na umiłowaniu przedmiotu, które zdaje się być materialistycznym rozwiązaniem ostatecznym. Wyraźnie okazuje się, że w to rozwiązanie coraz trudniej wierzyć. Trudno zająć się tą kwestią szerzej w tym momencie, jej zasygnalizowania chyba brakuje jeszcze w obecnej poezji, zarysowuje się raczej silniej w mojej prozie, której tutaj nie uwzględniam. Silne są i zapewne będą powiązania z „Doświadczeniem wewnętrznym” Bataille’a.

W tym momencie droga wciąż stawia mnie na skrzyżowaniu. Przemierzywszy jej część, oddaję to, do czego udało mi się dojść. Oczywiście to wiersze i jako wiersze powinny być oceniane – i zostaną zapewne ocenione bardziej krytycznie, niż ja byłbym w stanie tego dokonać. To dobrze, może czegoś się jeszcze nauczę.

AUTOR

POKOLENIE PORAŻONE PRADEM

1

urodziliśmy się między wojnami
ze słów zużytych ludzi nudnych
paczki obrazów okolone całe
cienkim kartonem w kolorze skóry

my zmije na ludzkich kwiatach chowane
kolorowe monochromem w cieniu ukryte
samotnie zdarzone umarłe przegniłe
stawiamy ojcom pośmiertne pomniki

żeby dzieci nasze mogły znów je zwalić

2

z plastikowej cegły trakty warszawy
czerwone wstydem ulice paryża
brunatnej wolności place berlina
odarte

ulice tańczą kolorem i barwą
kryształy odbite z kałuż tafli
muzyki brzdęków mroku wieczora
rozbijane bębniem wielkiej lampy
jej elektryczność płynie moim ciałem
otwierając miasta czarne wypalenisko

3

poruszały się jedno tłumy w tramwajach
poruszone twarze napinane czasem
ponowoczesne wpół wyobrażone tango
rwij mnie na połowy ozdobione złotem

jestem kapłan zniszczenia ubrany w szkarłaty
moje ręce są w nocy wiecznych zgonów ciągłości
zęby poszarpane twardym ludzkich ciałem
tańczę na szczycie piramidy słońca

ogród pod stopami jaśniej bielą dziecięcą
pełen małych zerwanych z bioder przepasek
nagie tańce na chwałę wieczności
rozpięte krawaty stłumionych dżentelmenów

POEMAT (fragmenty)

D1

Aż mi zaczną krwawić stopy

coraz bardziej nieczytelne skrobnięcia na ramieniu
stałem się niewidzialny
na skraju kawiarnianego stolika

zerwano nici podtrzymujące sklepienie katedry
zawiśliśmy na podziemnych pajęczynach
na ostrzu końca wargi
chwyt kurczowy

do ręki wziąłem Ulissesa
brałem powieść podróźniczą
przeczytałem powieść podróźniczą

wstałem
poszedłem

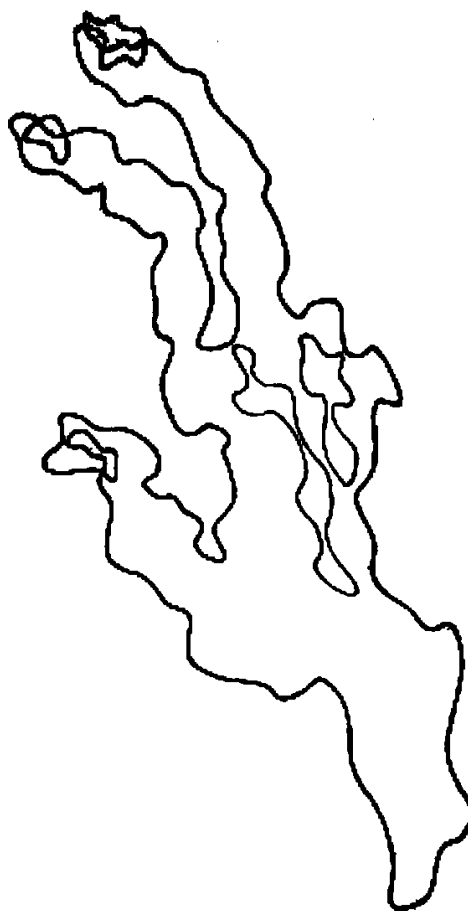
E

w kraju prawdopodobieństw
zdradza się pocałunkiem
zderzeniem usta-usta
jak atomy

w kraju możliwości
nosi się nagość
zasłony czerń źrenica
na świetlnym spektrum

w kraju powinowactwa
mojej twarzy twojej -
wyobrażenia kierują myślą
cieniami zwątpienia

Ameryka - spalona czaszka
Zatknięta na ostrzu języka



W. G. S. S.
1 4 4 5

ŚWIĄTYNIA BACHUSA W KRONSTADZIE

WICI
BATY
LAURY
BLYSKI
KURZ ZSYPUJE
PORUSZAM SIĘ
JESTEM SŁUP - JAK KOLUMNA
UŁAMANE PAZNOKCIE
MILCZENIE GÓRA
SŁOWO ROSA
POGRYZIONY JĘZYK
SIE Z RUINY
CZERNYSZEWSKI
WIATRY MORDU
SĄ METALOWE
RDZEWIEJĄ
NACZYNIĄ NASZYCH MARZEŃ
PORWANE PAPIEROWE WARCH
SZTOKHOLM
Z JEGO KWIATAMI
NAD GROBAMI
DOMY
FIGURY
A ŚMIERĆ JEST JUZ
ZBYWALNA
PUNKT
POMNIKI
BEZGŁOWE
FLASZCZYZNA
SYNU
WYSTRZEGAJ SIĘ
JUTRA
ONO NIE
NADEJDZIE

TRAFIKA
LIŚCIE Z DRZEW
POWYRYWANE Z BIBLI
DYM W PŁUCACH
L'HIVER NOIR SOUS BOIS D'EBENE
JAK MANNA
KAMIENNE MASKI
POZBAWIONE NOSÓW
CIEŃ MIĘDZY POKOJAMI
JAK MOSTY
USTA
WYSPA DALEKA
ZAPOMNIANA
ZABIERZ MNIE NA NIĄ
CHOĆBY WCAŁE NIE ISTNIAŁA
KU UMARŁYM PLEMIONOM
BEZ IMION I NAZWISK
CZARNA ZUPA
POCIĘTA SZEŚCIENNIE
PONEŻNA TANCERKA
BLASK SŁOŃCA SZKLANEGO
STATEK Z POKOJU

NIE POGRZEBALIŚMY JESZCZE WSZYSTKICH ZMARŁYCH

siedziałem przy stoliku na skraju ogrodu
zapachniało ziemią
było to w mieście co jego nazwy
zapomniałem
wciąż pamiętam jego twarze
poszarzałe na wietrze
całe miasto obsypane szronem

podszedł do mnie starzec i dał
zaproszenia na swój własny pogrzeb
było to około godziny siedemnastej
za chwilę miało być już ciemno
za chwilę

piliśmy za słodką kawę zagryzając imbirowym ciastkiem
nieświadomi zmroku za drzwiami ogrodu
dopóki nie dobiegł zapach krwi żelaznej
otworzono drzwi

zapytali mnie czy Chrystus jest żółty
wtedy nie rozumiałem pytania
teraz
teraz już rozumiem
teraz już rozumiem że Chrystus jest żółty

nie pamiętam ich twarzy
dziwne
nie zapomniałem żadnej twarzy
od czasów dzieciństwa

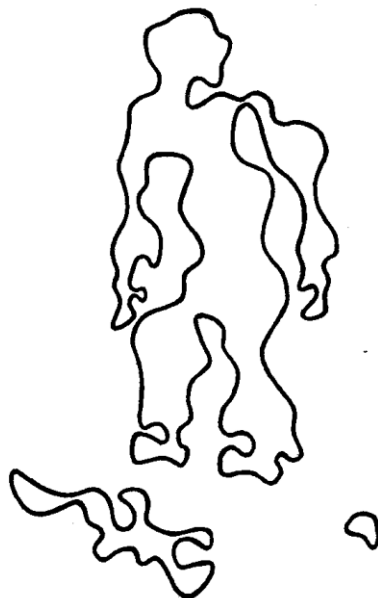
kiedy przechodziliśmy wioską wiał wiatr
nadchodziły wiosenne deszcze
zanim wyjdą kwiaty
tak delikatne jakby nie istniały
powoli wyrwały się strumyki z zimowego lodu
tak niedawno świeciło jeszcze zimowe słońce
tak niedawno rozgrzewał nas parzący mróz

byłem Tyrezjasz
moje mleko śmierć tragedia ciemność
nadzieja na niechybnym kole
wyrwanym z wojennego powozu

za słowa pocieszenia nienawidzi się w kraju karłów
za picie krwi swojego brata z ołtarza

na kryształach wyryto imię ojca
włożono mi go w wylupane oko
czy stałem się znów widzący?

widziałem
widziałem że Chrystus jest żółty
na krzyżu wisiał ukutym z twarzy wlanych w dłuta
(dlatego pustym)
gwoździ z ramion
tańczyła pod kowadłem mała Indianka
rozradowana pracą jej starego ojca



W. G. S.
1940

UKRADZIONE IMIĘ

I

oplatają mnie gałęzie
odciskają ślad na moich ramionach
cięcia pozbawione krwi

drzewo staje przede mną
zwija się w skrzypieniu
przeciągłym jęku jakby płaczu
nie słyszę

porysowałem twarz
nie rozpoznają mnie na ulicy
ale kiedy pada deszcz wszystko znika

woda była piękna
jest czarna jak usta otrutego
wpadam przez nią do nieba
nie widzę

II

wracamy z pogrzebu
zawiesiliśmy nasze marynarki na ramionach
miał rozpięty guzik na piersi
„nie boisz się?” spytałem
nie odpowiedział

stanęliśmy nad jeziorem
widzieliśmy słowa w drżącym powietrzu
nie otworzyliśmy ust
zdjęliśmy ubrania i poszliśmy pływać
tam poczułem jego dłoń na policzku
otwarte usta z których wypływała woda
strużki brunatnej krwi na wargach

« A volte

A volte c'è qualcos'altro »

III

puste miasto
kiedyś mgła była w nim szara
teraz jest brązowa

puste ulice
kiedyś byliśmy dziećmi
teraz nie mamy rąk i nóg

nie mamy ust
mówimy językiem wyrwanym handlarzom
oni przynieśli nam barwniki
nadużyliśmy niezmywalnego koloru
jesteśmy wszyscy czarni

IV

świeczka oświetla żółcią jego twarz
siedzimy w nicości na granicy światła

Susano-o złodzieju nieskończoności
uciekający przez okno
nasz czas poruszył się wraz z twoim wejściem

chciałem ostatni raz zobaczyć cień na jego twarzy
wykrzywił się w uśmiechu kiedy uniósł się papier
zasłonił mi jego oczy błyszczące złotem

V

pamiętam
siedzieliśmy w kawiarni
na zewnątrz
bez strachu
czytał

pamiętam
jego słowa
nie rozumiałem ich znaczenia
jego słowa były niespokojne
poruszyłem ręką w jego kierunku
dotknąłem jego policzka był zimny
spojrzałem na jego cień
wibrujący na rozżarzonego powietrzu lata
od tego czasu zestarzeliliśmy się

czytał:

*„Ho ucciso molti uomini”, mi hai detto
„E' come se lo avessi fatto
E non averlo fatto è stato proprio come averlo fatto
Tu non sai di cosa sto parlando
Ma è così che finirà
Un Giorno
Improvvisamente”*

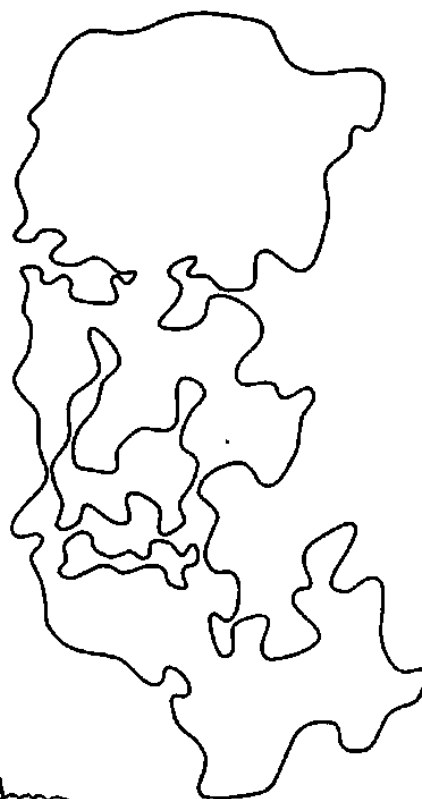
jego słowa były niespokojne

VI

wracamy z pogrzebu
zawiesiliśmy nasze marynarki na ramionach
miał rozpięty guzik na piersi
milczałem
poruszaliśmy się na krawędzi czasu

zatrzymaliśmy się przed jeziorem
poszedłem naprzód
byłem nagi

widziałem słowa w drzeniu rąk i nóg
czytałem je już milion razy
zawsze te same słowa
zawsze te same



W. Słomka
1942

*** [SIEDZIELIŚMY W NOCY...]

siedzieliśmy w nocy
słowa brzmiały pod szumem głosu
wyskakiwały lekko były wolne
wreszcie wolne
może to był tylko błysk przelatujący przez ciemność

widziałem złote kontury twarzy
malowaliśmy je wokół siebie chcąc stać się jaśni
ale pozostaliśmy w czerni której nie rozświetlają blaski
chyba metale z których zrobione są sztuce
dzwoniły w oddali
może to były tylko śpiewy ptaków

tej nocy byliśmy niewidzialni
wysmarowaliśmy nasze twarze węglem
położyliśmy się
patrzyliśmy na sufit
nie będąc jeszcze dość dorośli by wyjść na zewnątrz

odsunęliśmy się od siebie
zanim dotknęliśmy swoich ciał
to była najdłuższa chwila
poruszaliśmy się tylko w naszej myśli

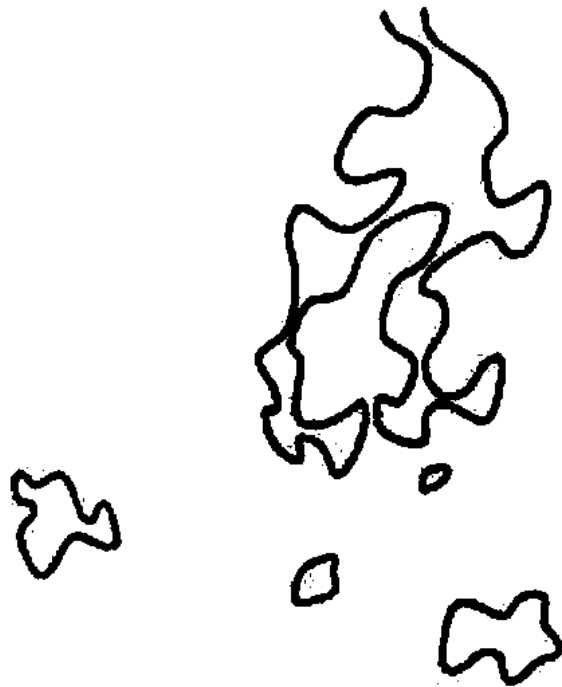
kiedy przypominam to sobie
wiele pozostało ściśnięte w pięści
choć paznokcie rosnąc przebijają mi skórę do krwi

IDEŃ ULICĄ JESIENNYM WIECZOREM GDY ZACZYNA JUŻ BYĆ CIEMNO

piszę siebie
piszę swoją twarz i ma moje
oczy i mój nos
moje wszystko
czy jest mną?

czy nie namalowałem sobie portretu
który przetrwa kiedy umrę
choć zawarłem w nim tylko chwilę
tylko jako chwila przetrwam
lecz moja twarz się nie zestarzeje

chciałbym napisać więcej
ale nie potrafię niczego innego
więc uznałem więcej za niemożliwe
i wiersz stał się chwilą



KAZANIE KAMIENI

moje włosy mierzwi wiatr
mieszają się, płaczą
zasłaniając mi wzrok
ślepnę w myśli

nie znałem poety co śpiewa
o liściach tańczących na wietrze
jego twarz spowijało światło
kwiaty były w nim płatkami na łąkach
światło wpadało w oczy i nie było myśli
doniczki były w nim wypaloną gliną
światło było jasną ślepotą dojrzałości
spojrzałem przez zaćmę dzieciństwa
zobaczyłem kontury mojej twarzy i były liniami oddzielającymi blask od mroku
nie znałem poety co śpiewa
pieśń o samym sobie, lecz pieśń o mnie

czy nie narodził się on w moim łonie
różniącym mnie od kobiet będących tym, czym nie jestem
i upodabniającym mnie do mężczyzn, którzy byli mną?

ale uzyskałem świadomość na chwilę której nie mogłem wypowiedzieć
i mój wzrok znów zamglił się parawanem myśli
i mnogością przedmiotów pozbawionych płci
zapomniałem o poecie przychodzącym o zmierzchu w myśli
który rozsadza ją i czyni lży wodą oddzielając je od uczucia smutku
przemówił do mnie jak do dziecka nie rozumiejącego języka dorosłych
ale byłem dorosłym nie rozumiejącym języka przedmiotów
które przerastały mnie jak pigmaliona kamień
co przemówił i było wtedy ciemno
na chwilę rozbłysnęło światło
i znowu osunęliśmy się w cień myślenia
ale słowa skończyły się przed tym momentem

OBIEKTY (fragmenty)

i

zsuwam okulary
mój nos jest mniejszy

ii

piszę
słowa na papierze nie czynią mnie poetą
czynię się poetą
słowo pozostaje jedynie sobą

iii

uczucia nie mają twarzy
wszystkie twarze są tylko twarzami
jakże szczęśliwi są ci
mogący dostrzec w twarzach tylko twarze
wszystkie są bowiem identyczne

nie ma płaczu nad grobem
zadumy w tęsknocie
bo gdy umrze jedna twarz nic się nie zmienia

i jakże piękne są te żywe twarze
nie ma w nich nic poza nimi samymi

v

światło słońca uderza w białą kartkę
biel tak biała że oślepia
piszę żeby móc na nią spoglądać

ale to jak zakładać ciemne okulary
patrząc w słońce

ix

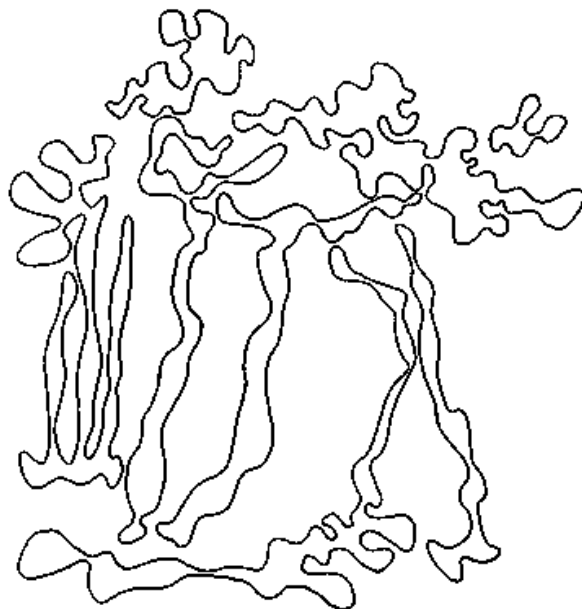
ze sztywnym karkiem siedzę wyprostowany
słucham szumów wiatru za zamkniętym oknem
ale zagłusza je mój oddech

dopóki nie staną się mocne
i nie zaczną poruszać drzewami
wtedy oddech staje się tak cichy
jakby nigdy nie istniał

x

otwieram książkę i czytam na głos

słowa tworzą się w głosie wyrwane
z mojego głosu
one nie są pisane moim głosem i widzę to
i myślę się w czytaniu gdy słyszę nie swój głos
wracając do samego siebie



REZNIKOFF

mój nowy ulubiony amerykańczyk

gdybym znalazł talmud na ulicach
też uwierzyłbym w wolność

i niewolę
(niemożliwe wierzyć w tylko jedno z nich)

ale na ulicach widzę tylko rozrzucone gazety
i reznikoff też widzi rozrzucone gazety
możemy kiedyś porozmawiać po starohebrajsku
nie znam go lecz
bóg porusza moimi ustami

nie potrzebuję wierzyć w wolność
żeby chodzić po tych samych ulicach

POCHODNIA PRZERZUCANA Z RAŃ DO RAŃ

stojąc w absydzie katedry

(nawet nie masz pojęcia
jak brzmi śwąd palonych włosów
w czarne oczy
jeden błysk nieporównywalny)

szturcham swoją własną głową
podtrzymując płomień

WARTO BYĆ OBRZYDLIWYM

włosy zaplątane w moje gardło
kiedy jestem w wielkomiejskim tłumie

pluję

to upragniona chwila intymności

*** [PRZEBIJA SIĘ Z NOCY...]

Przebija się z nocy
Nie potrafię chyba
rozpoznać kształtu
jej
jej kształtu

Tego wieczora nie było nawet ciemno
Wręcz przeciwnie było wręcz niezwykle
jasno – To nie anomalia tylko poruszenie
w dotychczasowym monotonnym pomieszczeniu
To jakby światło zapalone w pokoju
W istocie nienaturalne

Ona jest stawaniem się
Nie światłem ale rozpaleniem

Nie ma w tym obrazie miejsca
na opis oka w które blask ten wpada
Ale czy tego oka tam nie było?
To przecież konieczne – a jednocześnie
zawsze nam grozi że odkryte złudzenie
po prostu skrywa nic

Dlatego nie mówię o tym jaka jest
a jedynie o tym że jest
Do tego nie potrzeba oczu



PORSENNY BREWIARZ CIENIEM SKRYTY

Ach tancerko ciało twoje wygina się łukiem
Niczym tęcza paralityczna prądem narwana
Konie Nike w kwadrydze tarana
Tyś dnia kadukiem – noc czerniejąca
Co sierpem trąca ręką wolna
Głodu córa!

Wytrwaliśmy drogę naszą między oazami
Spotkaliśmy plemię ludzi o twarzy małp
Wycięte wzorem krzyża wyuczonego na pamięć
Wystrzelaliśmy je i nasze dusze znowu były czyste

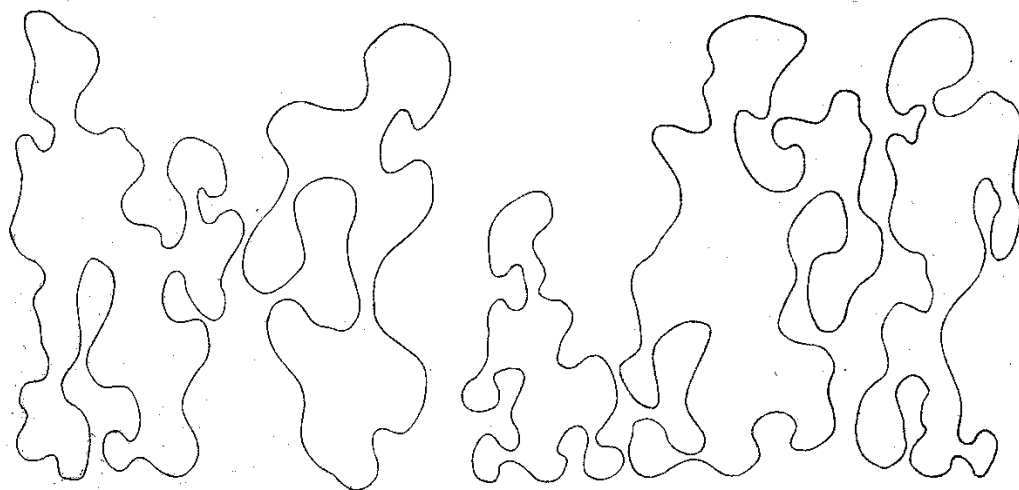
O zmierzchu dotarliśmy do miasta – nie pomnę imienia
W kawalkady płaszczy – w ojczyznę czerwii
Ubrani zawczasu – pomiędzy panami
Zażywaliśmy bólu młodości
Aż pogięte strzepy szat nie ukazały naszej skóry ziemistej
I wygnano nas z królestwa ducha
Na powrót w pustynię piersi i żądeł

Stawaliśmy pośród gór stalowych
Pociętych parabolicznie na podobieństwo umysłu
Barwione krwią której gleba nie przyjmie
Oj baliśmy się wracać na ziemię ciemną
Bielmem rozumu przykrytą
Po naszym wybyciu z nad-przybytu

I istotnie krew płynęła
Oczy nasze zmęczone jej widokiem
Zamknęły się pod obcymi strupami
Pozwalając usnąć w namiocie czerstwym
Odtąd stukamy laską w suche kamienie
Aż buchnie ciepłe powietrze w nasze łydki
Tak dążymy
Bez potrzeby ziemi na jej pokalanie

Obudziliśmy się wśród głosu pragnącego
Wydobywał się on z naszych ust
Poruszyliśmy się w cieniu wielkiego słowa
Trzęśliśmy się w strachu w nadziei na słońce
Ale nadzieja jest domeną kamieni
Zdarto z nas skórę i nam pokazano nasze szklane mięśnie
Które zbijały się wraz z każdym ruchem
Powracając znów do pisaku

Otworzyłem oczy i oślepiła mnie biel
Nie poruszyłem się wiedząc
Że przyszedł dzień powrotu do królestwa ducha
Ale ono nie przyszło
Następnego dnia także nie przyszło
Zostałem odrzucony lekkim poruszeniem wargi
Opuściłem moją dłoń i była kością mięśniem pokrytymi skórą
Z moich piersi sączyło się mleko
Przed moimi oczami nie było nic
Zapadła noc i poczułem głód pierwszy raz od bardzo dawna
Ruszyłem naprzód ku kolejnym oazom
Nie spodziewając się na żadną natrafić



W. Głuchowski

JA – PROROK

O wy, ludzie z gór cynobrowych
tak was zwano
dajcie mówić mi z wierzchu dłoni
nie dano mi daru przepowiadania
nie powiem wam nic bo kiedy kazali
dać głos – ja dałem

Dawniej prorokom był włożony głos w usta
tak pewna przyszłość się zdawała
jak śmierć albo praca maszyny
jednak przegoniliście wszystkie ich słowa
pograżając się w chaosie niepomysłanego
nie powiem wam nic bo kiedy oskarżali
winom się przyznałem

Z moich ust biegnie kwadryga kości
zza krat zębów wyzierają dawni ich więźniowie
teraz już trupy historii
nie mogę zapomnieć będąc ogrzany piekłem
kryjącym się w cieniu każdej myśli
nie bójcie się mnie
pograżając się w strachu przed prawdą otwieracie trumnę przeszłości
całujecie ich trupy w piersi próbując wyssać mleko
wysysacie zakrzepłą krew zalepiającą wam usta
sam znam jej słodki smak
i spoglądając nań z jaskini potępienia wydaje mi się jeszcze słodszy

Czy to nie wyście ich zabili bo gdy byli pośród was
ciągle przypalali wasze ciała aby dać wam upomnienie
pozbyliście się ich za pomocą leku na migrenę
jak pozbywa się cierpienia podobnego śmierci

Śmierć zabiliście

Przynoszę wam to z grobu wstawszy
waszym lekkim ruchem warg jestem znów tam wprowadzony
znów wcielony waszym słowem w przyszłą permanencję
jestem tylko przypomnieniem jutra

*** [NIE DA SIĘ JUŻ BYĆ POETA]

nie da się już być poetą
wychodzę na spacer i mijam ludzi
mijam drzewa i czasem psa jakiegoś
słyszę bicie dzwonów kościoła w oddali
pomruk organów ledwie słyszalny
coraz mniejsze – idę
do kawiarni gdzie gra muzyka
piję moją małą czarną nawet mi smakuje
śmieje się do mnie barman
opuszczam wzrok na kartki
i wiersze na nierównym stole
zdaje się – nic nadzwyczajnego
ale właśnie nic nadzwyczajnego – nie czuję
że pod moimi stopami jest piekło tak blisko
że w palcach czuję przyjemne zeń ciepło

nie da się – mówili już dawno
czy wtedy piekło było bliżej naszych stóp
i każdy krok wymagał cierpienia
cierpienie to coś do czego można przywyknąć
potem zapomina się o jego istnieniu
nie oddaliliśmy się od piekła ani trochę

TO JA – ROUSSEAU

Dzwonię z mojego cynowego telefonu
zapytać czemu zabiliście w sobie
ołowiane zwierzęta

Przeleciałem wzrokiem po pokoju
czekałem na przyjście
przyszła była już późna godzina
ziewałem podczas całej rozmowy
pytała mnie o politykę
a ja że nie znam się na niej jestem tylko
kustoszem jeśli można to tak nazwać
małej galerii na uboczu miasta
co ja wiem o polityce
raz tylko przyszedł jakiś zabłąkany starzec
który powiedział że wolałby gdyby wszystko było linią prostą
zaprowadziłem go do obrazu
i powiedział że nie rozumie ale odczuwa
a to była tylko mała kreska
postawiona na przełomie jednej wielkiej plamy z drugą
potem wyszedł ale zostawił po sobie kartkę z zapisanym adresem
nigdy tam nie poszedłem
czasem myślę o tym
może niepotrzebnie

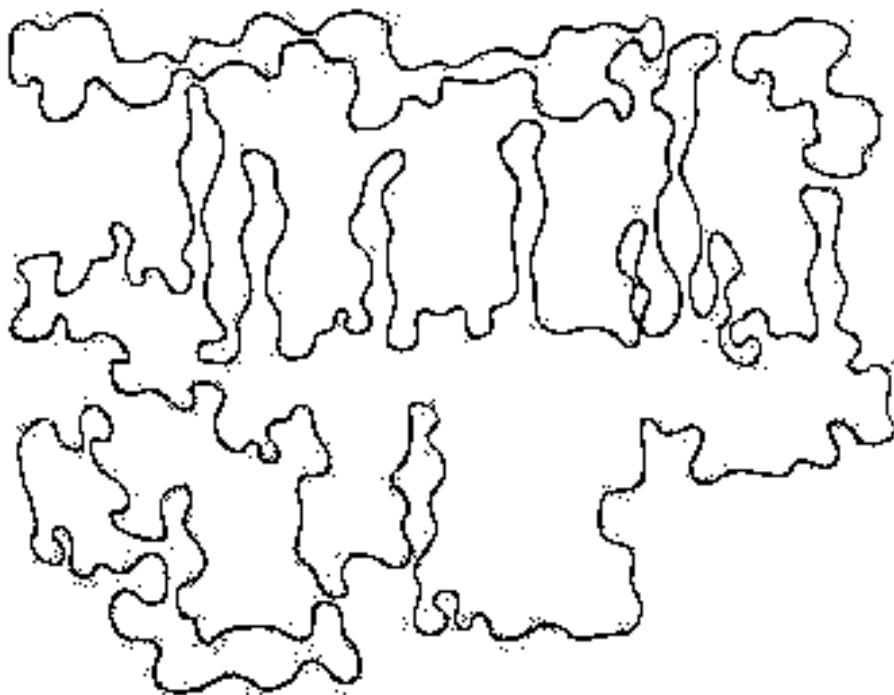
Dzwonię z mojego szmaragdowego lasu
zapytać czemu zastąpiliście
drewniane bale kolumnadą

Nie wiedziałem jak piękna może być grecka świątynia
dopóki nie wyjaśniono mi tego na jednym z wykładów
teraz widzę że jest piękna
nie potrafię tego wyjaśnić ale zacząłem to czuć
może wcześniej też to czułem
nie wypadało mi zapytać czy wypada czy nie wypada nie czuć
dlatego nigdy nie postawię w mojej małej galerii greckiej świątyni
nie mam o niej nic do powiedzenia
poza tym że jest piękna
jak dziewczyna w której zakochuje się młodzieniec
a potem porzuca ją gdy uczucie przeminie
w każdej następnej szukając tej chwili kiedy kochał pierwszą
ale ta pierwsza też będzie następną i jeszcze następną
a na koniec wyda nam się, że w ogóle nie było miłości

może nie było a może tylko o tym zapomniałem
ludzie starzejąc się zapominają

Telefon dzwonił ale ja leżałem
w moim łóżku czekając na koniec sygnału
nucąc cicho jego melodię
telefon zamilkł a ja nuciłem dalej

Wstałem nie chcąc spóźnić się do pracy
po drodze przejechał mnie tramwaj
nie było szans na odratowanie
może mógłbym wtedy dokupić więcej obrazów
za pieniądze z pozwów
ciekawe co by się stało gdybym odebrał telefon
ale nie mogłem przestać być kustoszem galerii
– powiedział kustosz galerii w ostatniej chwili



Wł. Gierman

POWOLI UMIERAM BĘDĄC PRZYGOTOWANYM

zima zjada słońce po czym wypływa je
wypaliwszy sobie dziurę w żołądku
przez tę dziurę wkładam palec
otwierając drzwi promieniom
oślepiającym mnie w karze za zuchwałość

siedzę pośrodku pustego pomieszczenia
naprzeciwko mnie znajduje się biała ściana
przechodzę przez nią w myśli
ale brakuje mi marzenia o tym co poza nią
jestem więźniem przedziwnego pałacu
królem ze szkła

przybyłem do tego kraju na pokładzie statku
kiedy światło ginie pod falami
wówczas mam znowu ... lat
nie odczuwam już swojego wieku
może jestem już starcem

nigdy cię nie widziałem inaczej
niż poza ścianą a może twój kontur
jak cień ukrywał się w rozbłyskach skrajów moich oczu
jestem w odległej pozycji
w fotelu przy lampie z książką na kolanach
cisza cisza czerni

ROZRZUCAM KWIATY NA ULICE

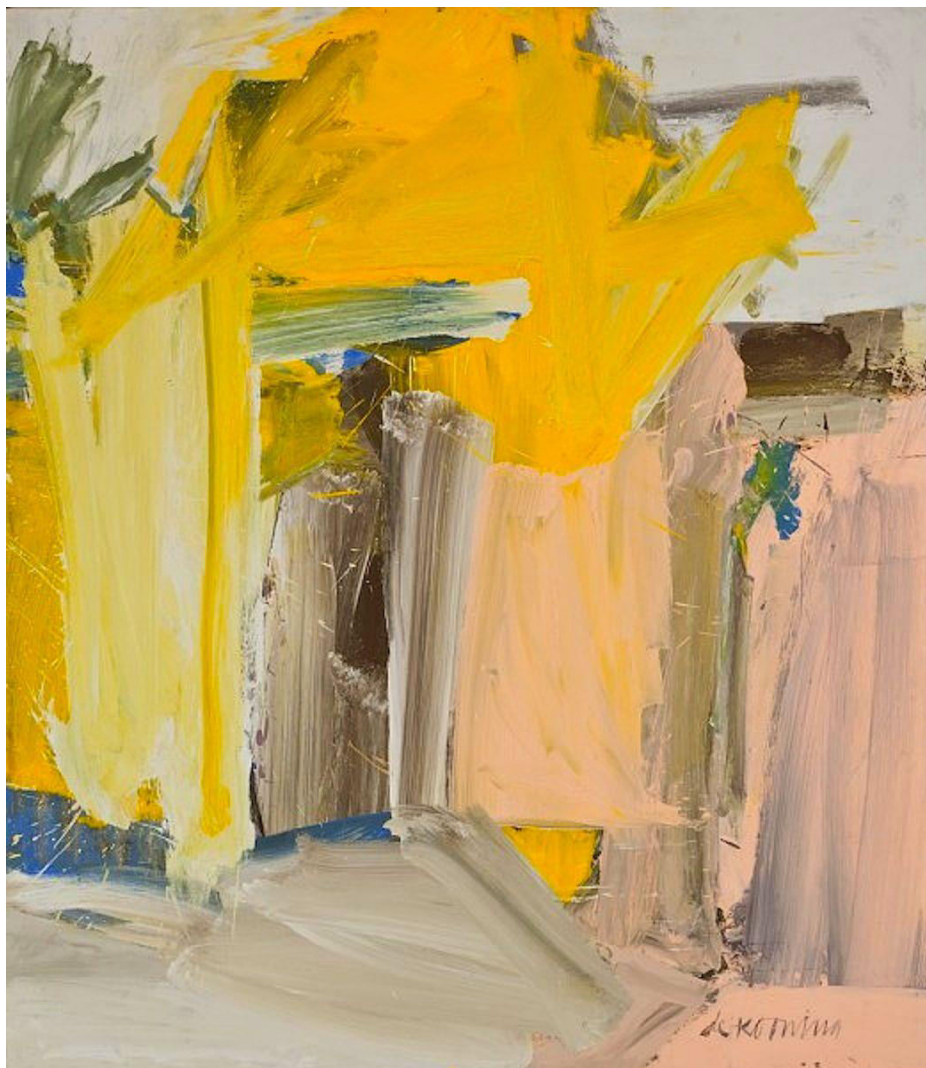
cięży mi powietrze
zacerowane usta wypełniają się wodą
zamknięte oczy wypełniają się bielmem
plótno malarskie oplata mi kark i włosy

uciałem głuche brzmienie jęku
w gardle swoimi słabymi dłońmi
nikt by go nie usłyszał
na ruchliwej ulicy – a czarny asfalt
też krzyczy pod kołami samochodów

nie mogę jak w trawie
położyć się na ulicznym bruku
ale słyszę kamienne źdźbła
szepczące mi z oddali

zbliżyć się – wysłuchać
wydać na siebie wyrok śmierci





The Kraszak Times

listopad/grudzień

2019

redakcja: Adam Matysiak
opiekun wydania: dr Stefan Wrzosek